

BEATA KOZIDRAK

BEATA
GORĄCA KREW



BEATA

GORĄCA KREW

[Kup książkę](#)

BEATA KOZIDRAK

BEATA

GORĄCA KREW

[Kup książkę](#)



[Kup książkę](#)

Moim bliskim,
którzy byli dla mnie ważni,
którzy mnie ukształtowali
i zbyt szybko odeszli:

MAMIE, TACIE i JARKOWI

[Kup książkę](#)

Był marzec 2020 roku, zaczęła się pandemia koronawirusa, odwołano wszystkie koncerty. Właśnie wtedy, zamknięta w domu, otworzyłam notatnik i zaczęłam pisać. Słowa przychodziły same, jedno po drugim. Dzieciństwo, młodość, pierwsze kroki na scenie... Szukałam w pamięci kadrów, scen i osób, które zaważyły na moim dorosłym życiu. Mama, tata, rodzeństwo, koleżanki i koledzy, dom przy Grodzkiej. A potem kariera, koncerty, festiwale... W tym czasie wyszłam też za mąż, urodziłam dzieci. Musiałam pogodzić ze sobą oba te światy.

Barwne, ciekawe życie – powiecie. Tak, ale nie zawsze. Były też łzy, smutek i trudne decyzje, które musiałam podejmować, aby iść dalej. Jednak zdecydowanie więcej znajdziecie w tej książce uśmiechu, radości i optymizmu. A także przekonania, że marzenia trzeba spełniać, a życie jest po to, by się nim cieszyć.

Jeśli brakuje Ci w życiu **TEJ RADOŚCI**, czujesz, że się dusisz, a szczęście gdzieś się zgubiło, może to znak, że czas na zmianę? Może trzeba zatrzaskać jedne drzwi, aby otworzyć kolejne? Może warto podjąć radykalną decyzję, żeby znów każdego dnia uśmiechać się i prawdziwie czuć życie?

Mam nadzieję, że moja historia będzie dla Ciebie **INSPIRACJA**. Dziś oddaję ją w Twoje ręce i jestem bardzo ciekawa, co w niej odnajdziesz.

Oto moja **BIOGRAFICZNA** opowieść. Oto *Beata*.

BEATA KOZIDRAK

[Kup książkę](#)



Z kuzynką w Krynicy-Zdroju. Mam tu siedem lat.

GENERALNIE MIAŁAM BYĆ PRZEMKIEM.

Albo mogło mnie w ogóle nie być.

Przedemną urodziła się Grażynka, która umarła, kiedy miała zaledwie kilka dni. Więc gdy moja wspaniała mama znowu oczekiwała dziecka, była bardzo osłabiona. Lekarze doradzali wręcz, żeby usunęła ciążę, bo zagrażała jej życiu. Ale mama nie miała wątpliwości.

A potem?

Szok! Nie dość, że urodziła się dziewczynka, to jeszcze w „czepku” i drze się na cały szpital. Być może już wtedy Bóg wyznaczył mi moją przyszłość.



Po porodzie mama musiała zostać w szpitalu, a jej stan był na tyle poważny, że poprosiła tatę, żeby sprowadził jej młodszą siostrę. Mama powiedziała cioci, żeby jeśli „coś się stanie”, zaopiekowała się mną i moim rodzeństwem. Ale nic się nie stało i po jakimś czasie wróciliśmy do naszego lubelskiego mieszkania.

Tak, Lublin to moje ukochane rodzinne miasto, a w dzieciństwie całym moim światem była lubelska Starówka, jej zaułki, zakamarki, dźwięki oraz zapachy – czasami pieczonego chleba i słodkich ciastek z ciastkarni na ulicy Grodzkiej, a czasami smrodu uryny i papierosów w wąskich uliczkach, których na Starówce było mnóstwo.

Mama opowiadała mi, bo przecież nie mogę tego pamiętać, że już jako dwulatka biegałam alejkami wokół Wzgórza Zamkowego, ścigając się z trochę starszymi dziećmi. Przytrzymywałam ich rękami i krzyczałam – a wtedy jeszcze nie wymawiałam „r” – „Ja pefa, ja pefa!”.

No cóż, sama nie wiem, po kim mam ten gen rywalizacji.

Teraz Stare Miasto to prestiżowe miejsce na mapie Lublina, ale wtedy... Poznałam dzieci, które błąkały się po ulicach głodne i zalęknione, bo w ich małych mieszkaniach leżał pijany ojciec, a czasami i matka. Gdy odwiedzałam kolegów i koleżanki, często widziałam alkohol, biedę, smutek, przemoc. Ale nie chciałam czuć się bezradna, chciałam pomagać, do dzisiaj chcę.

Kiedys zebrałam grupę dzieciaków, żeby pomóc rówieśnikom. Spotykaliśmy się na placu Zebrań Ludowych, obok budki z lodami. Rozdawaliśmy wszystko to, co każde z nas przyniosło. Kanapki, ciastka, jabłka. Jeśli ktoś miał pieniądze, dzieliliśmy je na wszystkich i kupowaliśmy lody. Złoty dwadzieścia za gałkę. Nigdy nie zapomnę ich smaku. Smaku szczęścia.

Tak, byłam szczęściarą. Mieszkałam wprawdzie w skromnym, małym mieszkaniu, ale miałam za to kochającą rodzinę. Mój dom zawsze był ciepły, pachniał pieczonym ciastem i obiadami, które gotowała mama. Nasze mieszkanko znajdowało się na trzecim, ostatnim piętrze kamienicy przy ulicy Grodzkiej 36a, więc z jego okien miałam wspaniały widok na plac Zamkowy,

GORĄCA KREW

na którym zawsze coś się działo. To było moje pierwsze okno na świat.

Mieszkanie składało się z przedpokoju, kuchni i jednego pokoju – przedzielonego ścianką na pół. W jego jednej części spali moja o osiem lat starsza siostra Mariola i o pięć lat starszy brat Jarek. W drugiej części spałam ja, a na dużym tapczanie moi kochani rodzice, Alicja i Marian. Mama zajmowała się przede wszystkim wychowywaniem całej naszej trójki. Tata był inżynierem i albo wyjeżdżał, żeby coś budować, albo kreślił projekty na sztalugach rozstawionych w kuchni. Mówiliśmy zupełnie innymi językami. Kiedy on opowiadał o przęsłach, ja mówiłam o swoich przeżyciach, o muzyce. Ale jedno dzięki niemu zrozumiałam – a oboje byliśmy zodiakalnymi Bykami – na pasję nie ma rady. Patrzyłam na zaaferowanego ojca, który godzinami potrafił opowiadać o pracy. Dziś łapię się na tym samym, więc jakoś jestem do niego podobna.

Łazienkę i toaletę mieliśmy w korytarzu, były dostępne dla jeszcze kilku innych rodzin. Ale że moja mama była nie tylko piękną i zadbaną, lecz także świetnie zorganizowaną kobietą, kupiła wielką balię i kąpaliśmy się w mieszkaniu. To po niej odziedziczyłam zaradność, a także głos, piegi i podobno ładne nogi. A nogi potrzebują oprawy. Pamiętam, że w szafie w przedpokoju oprócz ubrań stał też cały rząd maminych butów. Uwielbiałam je wkładać na swoje małe stóпки i przeglądać się w lustrze. Szpilki, pantofle, botki, kozaki... Marzyłam, że w przyszłości będę ich miała przynajmniej kilkadziesiąt par więcej niż mama.



Kiedy miałam osiem lat, rodzice kupili nam psa. To był owczarek coli, taki sam jak z filmu *Lassie, wróć!*. A że okazał się suczką, więc otrzymał imię po bohaterce filmu. Bardzo kochałam Lassie, mieliśmy nawet o niej piosenkę, którą śpiewałam z przejęciem dziecięcym głosem na rodzinnych imprezach. Kiedy czasami zostawałam sama w domu, wtulałam się w jej miękkie, ciepłe futro i zasypiałam.

Zabawy z Lassie były fantastyczne, zwłaszcza zimą. Pewnego razu, kiedy skwer pod zamkiem cały był zasypany śniegiem, mój brat wpadł na pomysł, żeby zrobić Lassie uprzęż z obroży i smyczy. Przywiązał ją do sanek, a mnie posadził na nich. Zaczął biec, Lassie oczywiście za nim. Wcale się nie bałam. Byłam dumna z brata, że chce się mną opiekować i wymyśla tak fajne zabawy. Niestety Jarek nie przewidział, że na zakręcie sanki mocno się przechyliły. Wylądowałam w śnieżnej zaspie, na której szczycie utkwiała moja kolorowa czapeczka z pomponem.

Jarek dostał mega opieprz od rodziców, ale szybko – przynajmniej w moich oczach – się zrehabilitował. To dzięki niemu zaczęłam uczyć się tańczyć.



Mój dziadek – tata mamy – był samoukiem, robił skrzypce. Pamiętam, jak grał na nich na rodzinnych uroczystościach. Mój wujek przepięknie śpiewał, do tego malował. Mama również śpiewała i ciocia. Dołączaliśmy się z Mariolą i Jarkiem do tego rodzinnego chóru.



Ślubny portret moich rodziców.

Tak, rodzina mamy była bardzo muzykalna. A tata? Kiedyś usłyszał, jak z pokoju mojego rodzeństwa leciała piosenka Czesława Niemena *Dziwny jest ten świat*. Zapytał: „A dlaczego on się tak wydziera?!”. Byłam oburzona. „Nic nie rozumiesz!” – odpowiedziałam gniewnie.

Mój tata, znawca muzyki...

Tymczasem dla mnie Niemen był pierwszą muzyczną ikoną, pierwszym ważnym punktem odniesienia, wzorem – chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak będzie wyglądała moja przyszłość. Kiedy śpiewał, krzyczał, szeptał, gdy swoim głosem wyrażał i silne, i subtelne emocje, był kimś niewiarygodnie prawdziwym. Kochałam go za to. Byłam pewna, że on naprawdę chce mi coś istotnego przekazać.

To nie przypadek, że piosenka Niemena dobiegała właśnie z pokoju Marioli i Jarka. To oni mieli gramofon i to tam odbywała się moja prawdziwa muzyczna inicjacja. Niemen, Breakout, The Beatles... Moja siostra i brat słuchali płyt winylowych, a ja... tańczyłam. Czasami wkurzałam ich strasznie. Nie tylko skacząc po łózkach, ale także bazgrząc w ich zeszytach i wciskając się na imprezy, które organizowali. Byłam naprawdę wścibską małolatą. Mariola i Jarek chętnie by się mnie pozbyli, ale nie mieli jak. W końcu Jarek, patrząc na moje tańce, powiedział mi, że na zamku działa ognisko baletowe. Jak tylko się o tym dowiedziałam, zaczęłam mamie wiercić dziurę w brzuchu, żeby mnie do niego zapisała. Mama była na nie, ale Jarek



Mój chrzest, obok mnie stoi brat Jarek.

ją przekonał. Więc jeszcze zanim zaczęłam chodzić do szkoły, rozpoczęłam naukę baletu.

Biegłam na każde zajęcia jak na skrzydłach. Pamiętam zapach drewnianej podłogi, drążki do ćwiczeń przy ścianie luster. Nawet zaczęłam akceptować swoje w nich odbicie. Ja chuda, piegowata sześciolatka zaczęłam marzyć. Zwłaszcza od kiedy pan akompaniator powiedział, że mam talent. Nawet więcej, zaczęłam mieć pewność: czeka mnie jakieś inne, niezwykle, wspaniałe życie. Więc byłam przekonana, że kiedy moja mama przyjdzie na pierwsze spotkanie dotyczące oceny moich postępów, zostanie obsypana samymi komplementami na mój temat. Ale kiedy usiadłam obok mamy w szatni przed salą baletową, usłyszałam:

– Pani córka jest zdolna, ale krnąbrna!

Skuliłam się w sobie. Kochałam to miejsce i nagle słowo, którego nie rozumiem i które brzmi strasznie!

KRNABRNA...

Bałam się zapytać mamy, co oznacza, ale czułam, że chodzi o to, że coś jest ze mną nie tak. Dziś łatwo się z tego śmiać. Gdyby wtedy był internet, nie płakałabym jak głupia, tylko przeczytała, że krnąbrna znaczy również wyjątkowa. I taka, która dobrze wie, czego od życia pragnie. Po latach to zrozumiałam. Cholera, ale ile mi to czasu zajęło?!

**BUDZĘ SIĘ W SWOJEJ PIĘKNEJ, PURPURO-
WEJ SYPIALNI.** Wielkie, wygodne łóżko, toaletka,
przy której codziennie rano robię sobie makijaż, na-
przeciwko łóżka drzwi do pokoju kąpielowego. Powoli
zaczynam zbierać myśli. Kalendarz w telefonie pod-
powiada, że jest 8 lipca 2016 roku. A więc to dzisiaj
jest ten dzień!

MÓJ ROZWÓD.

A ja mam kaca jak stąd, czyli z Warszawy, gdzie obec-
nie mieszkam, do Lublina, gdzie się urodziłam i gdzie
właśnie dziś mam zakończyć swój związek, trwający
ponad dziesięć lat za długo.

Boże, ratuj! Przypominam sobie wczorajszy dzień, wigilię
rozvodu. Spędziłam go z moim ulubionym fotografem,
z menedżerką i fryzjerem, który ściął mi włosy. Wypi-
łam niewiele, ale alkohol w połączeniu ze stresem zrobił
swoje. Więc teraz mam olbrzymiego kaca.

Rozglądam się po pokoju i mimo fatalnego samopo-
czucia jestem z siebie dumna. Ciuchy przygotowane.
Garnitur i buty do sądu oraz, oczywiście, seksi zestaw
na porozwodową imprezę w gronie zespołu i przyjaciół.

Tylko głowa. Dlaczego tak boli?

Nagle dzwonek do drzwi. Cholera, przecież nikogo
się nie spodziewam. Zbiegam ze schodów, chociaż
zapomniałam, że mam na sobie tylko majtki. W ostat-
niej chwili zakrywam piersi dłońmi, uchylam delikatnie
drzwi...

Na progu mojego domu widzę kobietę o figurze nastolat-
ki i figlarnym spojrzeniu pełnym spontanicznej radości.
Kaśkę. Moją najlepszą przyjaciółkę.

– A ty co tu robisz?! – pytam, a Kaśka już przepycha się obok mnie do holu.

– Co ty? Myślałaś, że zostawię cię samą? W takim dniu?

Wciąż nie mogłam uwierzyć, że Kaśka nie jest widmem, że jest tu ze mną naprawdę.

– Przyleciałaś ze Szwecji specjalnie dla mnie? Przecież mówiłaś, że nie masz kasy. A poza tym nie przesadzajmy, rozwód to dla mnie już tylko papier...

– Tak, jasne! – przerwała mi zdecydowanie. – Przechodziłam to już dwa razy, więc nie pieprz mi, że jesteś taka silna.



KAŚKA. JAK JĄ POZNAŁAM?

Wcale nie w trasie, w studiu ani na koncercie. Właściwie nie zaprzyjaźniłam się tak naprawdę, głęboko, bezinteresownie z nikim „z branży”. Może bym nawet nie potrafiła?

Kaśkę po raz pierwszy zobaczyłam na plaży w Międzyzdrojach. Opalałam plecy, tak jest najbezpieczniej, wtedy nikt nie jest w stanie mnie rozpoznać. Moja córka Agata bawiła się obok z jakimiś dziewczynkami. Zakumplowały się. A mnie zaintrygowała ich matka, piękna blondynka nieustannie strofująca swoje dzieci. „Madzia! Oliwia! Oliwia! Madzia!”. Bawiła mnie ta sytuacja, ale jednocześnie ta matczyna pewność siebie sprawiła, że bardzo chciałam tę kobietę poznać. No i poznałam...

Byłam już w pokoju, kiedy Madzia i Oliwka stanęły w drzwiach, żeby spytać, czy mogą się pobawić z Agatą.

Trochę je замуrowało, kiedy mnie zobaczyły. A potem? Umówiłam się z ich mamą na kawę, chociaż Kaśce, jako hotelowej instruktorce fitness, nie wolno było utrzymywać osobistych kontaktów z gośćmi. Ale co tam przepisy, kiedy rodzi się taka przyjaźń!

Od razu poczułyśmy się dobrze w swoim towarzystwie, jakbyśmy znały się od zawsze. To się nazywa chemia, prawda?



– À propos siły, to nie wyglądasz najlepiej. Beata, co się dzieje? – spytała Kaśka, a ja w jej głosie usłyszałam szczerą troskę.

ROZPŁAKAŁAM SIĘ. OBJĘŁA MNIE, PRZYTULIŁA.

– No i całe szczęście, że jestem, bo z psyche to u ciebie słabo.

– Ale ja... ja... – zaczęłam nieśmiało. – Ja mam tylko mega kaca! – wyrzuciłam z siebie. – Więc nie wiem, czy fizycznie i logistycznie dam radę...

Kaśka zaśmiała się krótko, a potem spojrzała mi w oczy.

– Ty, królowa, nie dasz rady? – spytała, ale w tym pytaniu nie było ani odrobiny współczucia. – Wypierdalaj na górę. Masz jeszcze godzinę. Prześpij się, a ja ci zrobię bardzo tłustą JAJECZNICĘ.